Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego

Nr. 1.
dnia 5. Grudnia 1880.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*"

Tom I.

Errare humanum est.

ZAMIAST WSTĘPU.

Wieczór był cichy, ciepły, majowy... U góry świeciły gwiazdy wyiskrzone, dołem Dniester toczył spokojne fale, powietrze drżało wonią kwiatów wiosennych, w łozinie, wzdłuż rzeki rosnącej, rozmarzone słowiki nuciły pieśń miłośną.

W niebo zapatrzony spoczywałem na miękkiej murawie, pojąc się wonią i spiewem. Myśl nieskrępowana żadnemi więzami, biegła zuchwale po za przestrzeń dla oka dostępną, po za gwiazdy i tę mleczną drogę, którą ręka Opatrzności nakreśliła wśród krainy wiecznych tajemnic.

Smutny i zamyślony schyliłem wreszcie głowę. Powieki zwolna opadały, ciało zaczęło ciężyć, myśl robiła się niewyraźną i mętną.

Usnąłem.

Ziemska powłoka spoczywała dalej na murawie, ale duch oskrzydlony wznosił się teraz ku niebu, by z bliska to obaczyć, czego przedtem nie mógł przeniknąć.

Z szybkością duszy, wracającej po skończeniu ziemskiej wędrówki na Ojca łono, leciałem ku gwieździe największej, która po za mleczną drogą wszechświatu przyświecała. Przedemną i za mną, w prawo i w lewo, jak kule ręką olbrzyma rzucone, wirowały światy przeróżne, to jasne, to ciemniejsze, i od jednych ku drugim przelatywały postaci z twarzami zasłoniętemi, tajemniczo szeleszcząc.

Im wyżej się wzbijałem, tem większy żal piersi mi uciskał. Znajdowałem się w krainie duchów, wśród istot bezcielesnych, ja, żyjący syn ziemi, brat tych ludzi biednych, których na globie zostawiłem, towarzysz ich zawodów, smutków i radości. Mamże wznosić się coraz szybciej i wyżej, ich nawet wzrokiem nie pożegnawszy?

Ściągnąłem skrzydła, wstrzymałem się w locie i okiem załzawionem na ziemię spojrzałem. Leżała w pomroce. Morza uspokojone szkliły się jak zwierciadła, puszcze leśne milczały wśród cieniów, góry stały w głębi jak dziecinne z kart zabawki; wszystko wydawało się martwe. Jedni tylko ludzie, jak mrowisko złośliwą ręką podrażnione, poruszali się namiętnie, ciągle pracując, walcząc z sobą i wzajemnie się wyniszczając.

Między nimi jedni byli całkiem czarni, niby duchy ciemności; drugim gwiazdka na czole płonęła, innym światłość pół twarzy oblewała, a tylko nieliczni, z jasnem jak słońce obliczem, przechodzili samotni przez tłumy ciemne, z oczyma utkwionemi w górę, w gwiazdy i niebo.

Tłumy czarne nie mogąc znieść blasku od nich bijącego, bądź z pianą na ustach ku nim się rzucały, śmiercią im grożąc, bądź z przekleństwem w głąb puszcz uciekały. Ale jaśni szli dalej, jak komety ślad za sobą znacząc, i ani ich groźba śmierci przerażała, ani przekleństwo z obranej drogi zwodziło.

Na światach, które nakształt szczebli w drabinie olbrzymiej, piętrzyły się od ziemi ku gwieździe największej, ukazywały się postaci coraz jaśniejsze i doskonalsze, tam zaś, gdziem leciał, wszystko już było słoneczne.

Żegnaj mi ziemio!

Rozwinąłem skrzydła, i z szybkością myśli mknąłem teraz na gwiazdy największe, gdzie Ojciec wszechświata królował.

Na okaz.

U szerokich bram nieba, siedział łagodny, mądry i wielki, a dokoła niego miljony duchów czystych krążyły radując się i pieśni Mu nucąc pochwalne. Skinął ręką, cisza zaległa, i sam pierwszy, za nim cała rzesza spojrzała na ziemię.

Tam, na jednej z tych Golgot, których ludzie tyle mają na swym globie, konała na krzyżu, wzniesionym rękami współbraci, jedna z tych istot świetlanych, których tak mało niedawno dostrzegłem. Ujrzawszy to, Bóg na znak radości i na pamiątkę tej chwili, wyrwał dwie iskry ze swej piersi ojcowskiej, i w przestrzeń je rzucając, dwie dusze stworzył. Jego nazwał Rozumem, ją Miłością. Gdy zdala anielskim przywitały Go uśmiechem, przywołał obie na swoje łono, i rzekł na męczennika ziemskiego wskazując:

— Na ziemię, która jest pierwszym stopniem w budowie wszechświata, zesłałem przed wiekami mojego Syna, by ludzi nauczył prawdy i miłości. Ukrzyżowali go za prawdę i miłość, ale ziarna, które posiał, zeszły i odtąd coraz częściej zjawiają się ludzie wstępujący w Jego ślady. Ci, którzy dla prawdy i miłości żyją i umierają, są najukochańszemi memi dziećmi, godnymi nieba synami, i ci za życia są światłem oblani, a po śmierci przychodzą wprost do mnie; wszyscy zaś inni, zanim tu dolecą, muszą oczyszczać się na światach wyższych, dopóki gwiazda na ich czole, całych nie oświeci, a ich szaty nie osiągną bieli słonecznej. Jeżeli was kiedy, moje dzieci, zeszlę na ziemię, pamiętajcie tak żyć, bym was mógł potem przyjąć wprost na moje łono.

Skończył, i w tejże chwili męczennik na Golgocie skonał. Duch jego czysty, wśród śpiewów rzeszy anielskiej, wrócił na łono Ojca przedwiecznego.

Duszyczki z iskier stworzone, pląsały teraz po niebie dłoń w dłoni, zawsze w siebie zapatrzone, myśląc tylko o sobie i kochając się jak rodzeństwo. Czas płynął i na światach u dołu zmiany następowały, lecz im się zdawało, że słodka jednostajność, wśród której żyły, zawsze trwać będzie — a wieczność, co ich oblewała, odmiany im nie przyniesie.

Tak myślały, aż oto raz się zdarzyło, że pląsając i szczebiocąc, zatrzymały się u bram nieba. On wpatrzył się w ziemię — ona bawiła się widokiem światów wirujących. Długo tak stali, a gdy nareszcie ona na brata spojrzała, dostrzegła smutek na jego twarzyczce.

— Co ci jest bracie? — spytała.

— Nie wiem, ale mnie coś ciągnie ku ziemi i ludziom.

Chciała go zabawić, rozweselić, on jednak żałośnie się uśmiechnął, i odtąd ciągle wracał do bram nieba i ciągle w ziemię się wpatrywał. Raz, kiedy go siostrzyczka przytrzymywała, wyrwał swoją rączkę z jej dłoni, i do Boga się obracając w te słowa przemówił:

— Ojcze! zeszlij mnie na ziemię i pozwól żyć z ludźmi... Czuję, żeś mnie na to stworzył, bym spełnił ten obowiązek.

Uśmiechnął się Ojciec, i gładząc jego główkę w ciemne loki strojną, rzekł:

— Każda dusza, którą stwarzam, o to samo prosi, boć takie wasze przeznaczenie... Idź mój synu, ale pomnij com ci mówił w chwili twego poczęcia: Żyj dla prawdy!

Uszczęśliwiony siostrę pożegnał, łezki z jej oczu zcałował i szepnął:

— Nie płacz... ja do ciebie wrócę.

— Wrócisz... ale zanim to nastąpi, będziesz tam może cierpiał, a ja przy tobie nie będę.

Nie odpowiedział, i na znak Ojca, na lekkiej chmurce ku ziemi popłynął... Siostrzyczka u bram nieba sama została, białe ramiona za bratem wyciągając.

— A ty moje dziecię — Bóg przemówił — nie masz jakiej prośby?

— Ach! tylko jednę mój Ojcze, byś mi za nim pójść pozwolił... Wszak on sam tam będzie.

Uśmiechnął się Ojciec, i gładząc jej główkę w jasne loki strojną, odpowiedział:

— Idź moja córko, i pomnij com ci mówił w chwili twego poczęcia: Żyj dla miłości!

Uszczęśliwiona popłynęła ku ziemi na białym obłoku, a kiedy Ojciec błogosławił im u góry, słowik w łozinie głośniej zaspiewał i jam się obudził do rzeczywistości.

ROZDZIAŁ I.

GARBUSEK.

— Garbus! Garbus! — krzyczało kilkanaście głosów chłopięcych na załomie drogi, która do miasteczka prowadziła. — Hejże na garbusa! Bij garbusa! — przewodziły im głosy grubsze, bo starsze, i w tejże chwili za małą osóbką, która z trudnością pomykała, posypały się kamyki i gruda.

Byli to chłopcy, którzy właśnie ze szkoły wychodzili. Zobaczywszy garbusa, który od roku był kozłem ofiarnym całej okolicy, nie mogli wstrzymać się od oznak nieprzyjaźnych, i zachęceni przez starszych wisusów, zaczęli go obrzucać najpierw obelgami, potem co kto w rękę chwycił.

Garbus umykał przed zgrają małych napastników, czem oni rozzuchwaleni, coraz szybciej za nim pędzili, śmiejąc się, krzycząc i piszcząc. Jeden przybiegł nawet tuż do niego i elementarzem w garb go uderzył. W tejże chwili uciekający stanął, i obracając się do malca, za ucho go chwycił.

Jak wróble, gdy je psotnik kamieniem spłoszy, rozlatują się na okół, tak studenci zobaczywszy co jednego z nich spotkało, pierzchli na wszystkie strony.

— Maciuś! Niedaj się Maciusiu! — wołali jedni za rowem, którym droga była od pola oddzielona.

— Dobrze ci tak Maciek, dobrze! — śmiali się drudzy, z poza płotu głowy wychylając.

— Urwie ucho Maciusiowi! — drwili sobie inni.

— A boli cię Maciusiu? — pytali najzłośliwsi. — Jeźli cię boli, to weź jego za ucho.

Łatwo im przychodziło z oddalenia żartować i radzić, ale trudno było Maciusiowi ich rady wykonać. — Garbusek jakkolwiek mały, był mężczyzną, Maciek zaś miał dopiero lat dziewięć, i chociaż zdaleka wodził rej między lampartami, z bliska nie okazywał serca mężnego. To też i teraz zamiast pójść za radą kolegów, skrzywił się pociesznie, i przechyliwszy głowę na lewą stronę, usiłował w sposób łagodny wyrwać swoje ucho z ręki garbusa.

— Proszę pana, niech mnie pan puści — błagał, z bolu przez zęby sycząc.

— Puścić cię hultaju — odparł garbusek głosem dyszkantowym — abyś znowu napastował ludzi spokojnych?

— Ja już tego proszę pana więcej nigdy nie zrobię... To nie ja winien, jak Boga kocham, to Szymek mnie namówił, a teraz stoi za płotem i śmieje się ze mnie.

— Szymek? powiadasz, a tamtej niedzieli nie słyszałem koło kościoła, jakeś wykrzykiwał?

— To nie ja, proszę pana, jak Boga kocham to nie ja, to Jasiek! Ja tamtej niedzieli nawet w kościele nie byłem, bom leżał chory.

— Nie kłam, bo ci ucho urwę! Alboż to ja ciebie nie znam wisusie?

Musiał go silniej pocisnąć, gdyż chłopiec krzyknął z bolu i głosem płaczliwym zawołał:

— To ja, ja... ale jak Boga kocham, ja już tego więcej nigdy nie zrobię.

— No pamiętaj, bo jak cię raz jeszcze uchwycę, to ci uszy oberwę i powiem panu profesorowi, żeby ci dał dwadzieścia pięć odlewanych. Pacierza pewnie nie umiesz, matka cię go nie nauczyła, a ludzi napastować to umiesz, urwisie!

Puścił chłopca. Maciek w tył odskoczył, potem zbliżył się jeszcze po czapkę, która mu z głowy na ziemię upadła, a gdy ją na bolące ucho nacisnął, jednym susem znalazł się po drugiej stronie rowu wśród zgrai wesołej. Koledzy przyjęli go śmiechem i żartami. Garbusek został tymczasem na dawnem miejscu, i dumny zwycięstwem, malców śmiałem okiem mierzył. Wszyscy jakoś przycichli, krom Maćka jednego. Ten ledwie ujrzał się wśród swoich, prędko do garbuska się obrócił, i trąc jeden palec o drugi, co w języku studenckim ma oznaczać „struganie marchewki“ — począł wołać na głos cały:

— Garbus! Garbus! A coś mi zrobił garbusie?!

Widząc to garbus usta przygryzł z gniewu, i pogroziwszy chłopcom, odszedł wolnym krokiem. Oni jeszcze jakiś czas krzyczeli, wkrótce jednak przypomniawszy sobie drugie śniadanie, zaczęli rozbiegać się po domach, które przy drodze stały.

Garbusek zmierzał do miasta.

Droga, którą szedł, była rzecznym żwirem posypana, i po obu bokach miała wśród ogrodów zielonych, domy nieco większe i okazalsze niż wiejskie. Były to przeważnie mieszkania niemieckich kolonistów, którzy osiedlili się w tych stronach przed laty czterdziestu. Między nimi w chatach mniejszych, bez kominów i z oknami jak dłoń małemi, siedzieli chłopi ruscy, i dopiero pod samym rynkiem, w kilku domkach pokaźniejszych, mieszkali szlachcice chodaczkowi, którzy utraciwszy przywileje w roku 1848, wzięli się do rzemiosł i handlu. Teraz jeden z nich był szewcem, drugi krawcem, trzeci kołodziejem, kilku usiłowało dorobić się fortuny przez uprawę cebuli, a inni znowu szukali szczęścia w handlu nierogacizną. Ich to synowie, uważający się za coś lepszego, niż dzieci włościan

pozbawionych pergaminów, wyprawili przed chwilą kocią muzykę biednemu garbusowi.

Na końcu drogi, która, jakeśmy to widzieli, była przedmieściem małomiasteczkowem, stały w dużym czworoboku domy z wysokiemi dachami, poobdzierane i walące się w połowie. Każdy z nich miał dużą bramę zajezdną, i w oknach prawie każdego widać było flaszkę z wódką, suche bułki, sól i kilka pudełek z zapałkami. Na podcieniach siedziały roje dzieci na pół nagich, brudnych i rozczochranych; kilka wieprzów przechadzało się po pustym placu; obok studni, której pompa od roku była zepsuta, krowa ryczała; przed kolekturą loteryjną stało włościan kilkunastu, a przy straganach, na których leżały bułki z szafranem i obwarzanki, siedziały żydówki stare i straszne jak czarownice z Mackbeta. Tak wyglądał rynek, a więc serce miasta Ludaczowa.

Na przedmieściach mieszkała ludność chrześcijańska, należąca do trzech narodowości: polskiej, ruskiej i niemieckiej; w rynku zaś gnieździło się przeszło sto rodzin żydowskich, z których jedna połowa żyła z handlu i matactwa, druga z dochodów niewidzialnych, których dotąd nikt nie zbadał. Wprawdzie życie tej drugiej połowy nie było wesołe, lecz mimo to wszyscy jej członkowie podrastali, kojarzyli się i rozmnażali jako piasek w morzu.

Ludaczów był mieściną tak malutką, że znalazła w nim pomieszczenie ledwie jedna władza rządowa, mianowicie oddział straży skarbowej, która surowo przestrzegała, by tak w miejscowych jak w okolicznych browarach i gorzelniach, nie wyrabiano więcej piwa i wódki, niż ich właściciele podatku opłacali. Wprawdzie teraźniejszy właściciel Ludaczowa, pan Jakób Stern, usilnie o to się starał, by tu sąd pierwszej instancji ustanowiono, lecz z Wiednia przyszła odpowiedź, że na pomnożenie sądów w Galicji, minister sprawiedliwości nie ma funduszów. Skutkiem tego najwyższą magistraturę sprawował w mieście burmistrz, pan Mojsie Kahlman, podczas gdy na przedmieściach, które dla siebie odrębne gminy stanowiły, rządzili chrześcijanie.

Mojsie Kahlman niezmiernie był z tego dumnym, że już od roku był burmistrzem w Ludaczowie, pod jego bowiem juryzdykcję należeli nie tylko wszyscy żydzi, lecz także proboszcz łaciński, którego kościół murowany wznosił się o kilka kroków od rynku, paroch unicki, którego cerkiew drewniana stała naprzeciw kościoła, kilkunastu szlachciców chodaczkowych, trudniących się rzemiosłami, nakoniec kapitan i lekarz wojskowy na pensji, którzy kupiwszy sobie dwa domki obok kościoła, spożywali swój chleb, dobrze zasłużony. Niegdyś, gdy rząd zwierzchników miast sam mianował, w Ludaczowie był zawsze burmistrzem chrześcijanin; odkąd jednak miasta otrzymały prawo wolnego wyboru, a żydzi zostali równouprawnieni, wszędzie, gdziekolwiek rasa semicka przeważa, wybierają żydów burmistrzami, którym najżarliwsi nawet katolicy muszą bez szemrania ulegać.

Gdy Mojsie Kalhman został burmistrzem, obadwa księża byli tem zgorszeni, szlachcice oburzeni, a kapitan i lekarz chcieli sprzedać swoje domki i coprędzej wynieść się z Ludaczowa. Rozważywszy jednak, że ani zgorszenie, ani gniew, ani dobrowolna emigracja złemu nie zapobiegą, postanowili zażądać unieważnienia wyborów, i aby cel osiągnąć, wnieśli wszyscy wyborcy chrześcijańscy skargę do Namiestnictwa. Podanie nie osiągnęło zamierzonego skutku, i Mojsie Kahlman został na urzędzie zatwierdzony. Malkontenci jeszcze jakiś czas szemrali — wszelako po kilku dniach, zajęci własnemi sprawami, już coraz rzadziej wracali do tego przedmiotu, a w końcu całkiem o nim mówić przestali.

Pan Kahlman rządził tymczasem przy pomocy pisarza chrześcijańskiego, który go we wszystkiem wyręczał; sam bowiem nie umiał pisać inaczej tylko po hebrejsku, i uspokajając oddawna zwaśnione żywioły, pełnem taktu postępowaniem wszystkich zadowolił. Miasteczko było od niepamiętnych czasów podzielone na dwa obozy, walczące z sobą o propinację i kopytkowe. Na czele pierwszego stała rodzina bogatych Silbersteinów, na czele drugiego niemniej zamożnych Goldbergów. Nowy burmistrz rozwiązał sprawę sposobem salamonowym. Propinację wypuścił taniej niż szła dotychczas, swojemu zięciowi, a kopytkowe, które przynosiło ledwie dziesiątą część tego co propinacja, rozdzielił w dwóch równych połowach, gdyż dwie były rogatki, między Silbersteinów i Goldbergów. Tym sposobem i wilk był syty i koza cała. Miasto się uspokoiło, rabin nie potrzebował zwaśnionych ciągle godzić, dawni potentaci ogryzali kości, a zięć burmistrza, młody Icek Baruch, w pierze porastał.

Tak wyglądało miasteczko, przez które szedł garbusek. Minąwszy rynek, gdzie żydzi kłaniali mu

się z uszanowaniem, zboczył ku kościołowi, i za chwilę znalazł się w miejscu, zkąd druga droga z miasta prowadziła.

Dopiero tu stojąc, można się było przekonać, że Ludaczów leżał na znacznej wyżynie i w przecudownej okolicy. U dołu roztaczała się równina, mająca kilka mil kwadratowych, równina nadzwyczaj urodzajna, dużą rzeką przecięta, pełna wiosek, które gubiąc się wśród drzew zieleni, jak olbrzymie klomby wyglądały. Za nią, w oddaleniu mil pięciu lub sześciu, podnosiły się amfiteatralnie Karpaty, których najwyższe szczyty w mgłach ginęły. Z miasteczka prowadziła droga staremi lipami wysadzana, na której końcu bieliły się mury dużego dworu, a w prawo, tuż obok wioski, która prawdopodobnie do dworu należała, sterczał wiecznie dymiący się komin młyna parowego.

Dzień był piękny, czerwcowy; słońce lało szerokie światła strumienie, powietrze było pełne woni, brzęku owadów i spiewu skowronków.

Garbusek stanął na pagórku, tuż przy drodze i ku górom wzrok puścił. Była to figurka niska i boleśnie niekształtna, z dwoma potężnemi garbami, jednym na przodzie, drugim na plecach. Głowę miał stosunkowo dużą, między wysokiemi ramionami na krótkiej szyi osadzoną. Ubior na nim był czarny, przyzwoity i nadzwyczaj czysty. Co do twarzy, tę Bóg mu dał taką, aby z całością w harmonji zostawała. Oczy miał siwe, malutkie, czoło w środku zapadnięte, jakby je kto załamał, nos długi i na końcu gruby, usta wiecznie blade i takiego układu, że gdy się śmiał, widać było zęby w połowie popsute i całe dziąsła, brodę ostro kończastą i naprzód wystającą, wreszcie na całej twarzy miał skórę żółtą, z dużemi plamami, które były także widne na jego rękach. Lekarz mieszkający obok kościoła, przypatrzywszy mu się raz z bliska, rzekł potem do kapitana: *der Kerl hat Leberflecken*, co miało znaczyć, że garbusek cierpiał na wątrobę i ztąd owe plamy pochodziły. O ile w tem było prawdy, nie rozstrzygamy, zwłaszcza, że sam garbusek nigdy się nie skarżył, by mu co brakowało, ale to wiemy, że owe plamy bynajmniej nie podnosiły jego urody, przeciwnie robiły go jeszcze wstrętniejszym, jeźli to w ogóle było możliwe. A jednak lubo że go natura tak upośledziła, ten człowiek, zwłaszcza gdy w samotności dumał, lub z sobą rozmawiał, co mu się często zdarzało, miał w rysach tyle boleści łagodnej i cichej, że przypatrujący mu się z bliska, musiałby dlań uczuć jeźli nie sympatję od razu, to przynajmniej współczucie, z którego powoli nie tylko sympatja, nawet przyjaźń się rodzi.

Garbusek stał kilka minut na jednem miejscu, aż z głębokiem westchnieniem wzrok ku ziemi spuścił i rzekł do siebie:

— Świat ciągle się zmienia.. ziemia to szara, to biała, to zielona, niebo raz chmurne, to zapłakane, to uśmiechnięte, a ja zawsze jednakowy!... Przed chwilą pauprów czereda biegła za mną jak za małpą, lub za hamanem żydowskim, bo każdemu malcowi zdaje się, że bezkarnie może mi urągać... Czyż na mojem czole napisane, żem najnędzniejszy między nędznymi? Niedawno temu jakaś kobieta brzemienna, ujrzawszy mnie, z głośnym krzykiem twarz sobie oburącz zasłoniła, a wczoraj, gdy stary Gozdawa chciał do mnie w polu podjechać, zapewne bym mu u Sterna robił interesa, boć z przyjaźni pewnie się do mnie nie zbliżał — koń jego ujrzawszy mnie, zaczął prychać, i gdyby nie był odjechał, byłby go z pewnością zrzucił... Cha! cha! cha! ślicznie muszę wyglądać, prześlicznie!

Umilkł. Twarz wykrzywiła mu się boleśnie, oczy głębiej się zapadły, na ustach ukazała się jakby piana. Chwilę stał ponuro w ziemię się wpatrując, potem znowu przemówił:

— I ciekawym, jaką to Bogu sprawia przyjemność, że jednych obdarza dostatkami ziemskiemi, zdrowiem i pięknością, a drugim odmawia wszystkiego, nawet wyglądania ludzkiego. Piękna mi sprawiedliwość!... I żądać tu potem, żeby ludzie byli lepsi, aby między sobą za braci się uważali, kiedy już w kolebce Bóg jednych przeznacza do władzy, drugich do niewoli. I niech kto powie, że jeno między nami taka różnica!... Czemu pies u Gozdawy leży na kanapie aksamitnej, a jego brat u chłopa z głodu zdycha? Czemu jedne konie stoją przy pełnym żłobie, i raz na dni kilka lekki powozik toczą, a drugie u żyda, robiąc bokami zapadniętemi, ciągną ciężar nad siłę, a gdy wysilone upadają, żyd je bez miłosierdzia katuje? I nietylko w świecie zwierzęcym ta straszna niesprawiedliwość.. Będąc wczoraj w lesie przypatrywałem się drzewom. W jednem miejscu rosło ich kilkaset. Ziemia była wszędzie jednakowa, to samo słońce nad niemi świeciło, jedno powietrze wszystkie oblewało, a przecie między zdrowemi dębami, które

dumnie korony do góry wznosiły, były także karłowate, z brzydkiemi naroślami, gdzieniegdzie strupieszałe, przedwcześnie na śmierć skazane! I na cóż one się rodzą, a urodziwszy się, czemu zaraz nie giną, lecz rosną? Czyż aby w wszechświecie była harmonja, koniecznie potrzebna dysharmonja w szczegółach? Czyż dla tego jedni cierpią, żeby świat się nie znudził? Cha! cha! cha! szlachetną sobie znalazł Bóg zabawkę!

Znowu umilkł. Po niejakim czasie mówił z większą goryczą:

— Nasz proboszcz przypuszczając, że mnie martwi moja brzydota, chciał mnie kiedyś pocieszyć, i szeroko rozwodził się nad tymi, którzy niesłusznie cierpią za życia... Poczciwina mówił o niebie, jako najwznioślejszej i jedynej dla nich nagrodzie... Piękna mi pociecha!... Ciekawym czy on sam oddałby wszystkie dochody ze swej parafji za nagrodę po śmierci! O! Boże! Boże! nacóżeś mnie stworzył!

Okrzyk ten wyrwał mu się z głębi duszy, a był tak głośny, że przestraszony w koło się obejrzał, czy go kto nie słyszał. Nikogo nie było. Westchnął, usta ścisnął i głowę zwiesiwszy, zaczął powoli na dół schodzić.

Nie uszedł jeszcze sto kroków, gdy nagle stanął. Zdala dolatywała go nuta dobrze znanej piosenki. Wytężył słuch i podniósł się na palcach. Spiew robił się coraz wyraźniejszy, a po nad żytem, które na łanie bielało, widać było w oddaleniu słomiany kapelusik ze wstążkami niebieskiemi. Ujrzawszy to garbus, na twarzy poczerwieniał i jednym susem z drogi przez rów na pole skoczył.

Biegł szybko, jak człowiek zupełnie prosty, na przełaj przez zboże. Mała jego figurka cała w życie utonęła, i tylko tam można się go było domyślać, gdzie kłosy bardziej się pochylały. Po chwili ozwało się głośne psa szczekanie, potem ktoś krzyknął:

— *Neptun* do nogi!

Był to głos niewieści, melodyjny.

Neptun, który na widok potworu z żyta wyskakującego, począł szczekać nie tyle może z gniewu, co ze strachu, na głos swojej pani umilkł, i zbliżywszy się do garbusa, którego poznał, cichem warczeniem objawiał dalej swoje niezadowolenie.

Przeciwnie jego pani zatrzymała się na ścieżce bez bojaźni i z uśmiechem. Była to prześliczna szatynka o niebieskiem oku, smukła, zgrabna, ubrana gustownie chociaż skromnie, istne zjawisko nadziemskie na tle sielankowem. Mogła mieć najwięcej lat ośmnaście. W jednej ręce trzymała parasolkę, która ją od słońca zasłaniała, w drugiej spory koszyk.

— Jacyż to bogowie pana tu sprowadzili? — zapytała wesoło, ukazując dwa rzędy drobnych ząbków i dwa cudowne dołeczki po obu stronach buzi rumianej.

— Ujrzawszy panią zdaleka... nie mogłem przenieść na sobie... by ci nie powiedzieć dzień dobry — odpowiedział garbus słowo po słowie, gdyż wskutek szybkiego biegu, brakowało mu tchu w piersiach.

— Jak widzę pan Henryk bawi się w średniowiecznego rycerza, a tem odważniejszego, że nie tylko narażał się na walkę z *Neptunem*, lecz także na utonięcie wśród rozhukanych fal żyta.

— Panno Różo! — jęknął garbusek i żałośne na nią spojrzał.

— Ach! niech cię to nie martwi panie Henryku — poprawiając się łagodniej odparła. — Wszak wiesz, żem tej uwagi nie zrobiła ze złego serca. Ale już taka moja natura niepoczciwa, że ilekroć mogę powiedzieć coś złośliwego, nigdy nie umiem się powstrzymać. Pan się jednak nie gniewasz, prawda?

— Któżby się na ciebie gniewał panno Różo! — zawołał z uniesieniem.

Twarz jego dziwnie się teraz rozjaśniła, powiemy wyszlachetniała, i z brzydkiej zrobiła się prawie sympatyczną.

— Ale gdzież to pani tak biegnie?... Sama jedna w polu, bez męzkiej opieki?

— *Neptun* jest moim najlepszym opiekunem, bo nawet na pana chciał się rzucić, lubo cię zna doskonale.

— Zapewne znowu do jakiej chorej?

— Zgadłeś panie Henryku. Dziś rano dowiedziałam się, że stara Prakseda, matka mojej Kasi, tej, co ubiegłej zimy u mnie służyła, niebezpiecznie zachorowała, a że lekarz biednych pacjentów nie lubi, więc ja go zastąpię. Biedaczka mieszka w tej oto chacie pod samem miastem... Wracając wstąpię także do Wasyla, któremu równocześnie zachorowała żona i córka najstarsza.

— Pani jesteś aniołem szlachetności!

— Czyż ja spełniam więcej niż bym powinna? Wszak miłosierdzie, to nic nadzwyczajnego, nic anielskiego, lecz zwykły ludzki obowiązek.

— Masz słuszność pani, chociaż z drugiej strony postać rzeczy bardzo się zmieni, jeżeli zwrócimy uwagę na atmosferę, w której żyjesz...

— Dajmy temu pokój! — szybko przerwała — i raczej powiedz mi panie Henryku, gdzie się mój ojciec podział. Nie widziałam go od rana.

— Pojechał do Grzybowa, gdyż właściciel tego majątku chciałby mu go sprzedać. Wkrótce jednak będzie wracał, jeźli zatem nie chcesz się pani z nim spotkać, radzę się spieszyć...

— Rzeczywiście wolałabym wrócić do domu przed jego przyjazdem... Tatko ma zawsze coś do powiedzenia.

— Bo nie chce, żebyś pani była miłosierną..

— Mylisz się pan.

— Przepraszam, chciałem powiedzieć, że tatko boi się, byś pani chorych odwidzając, nie nabawiła się sama jakiej słabości.

Gdy garbus to mówił, piękna dziewica wpatrywała się jakby bezmyślnie w starą chatę pod miasteczkiem, w której Prakseda mieszkała.

— *Neptun*! weź kosz. Do widzenia panie Henryku!

Pies uradowany przyskoczył i chwycił kosz w zęby, ona zaś garbusowi rękę podała.

— Jeszcze chwilkę panno Różo! — zawołał na miejscu ją zatrzymując.

— Co panu jest? — zapytała ze zdziwieniem.

— Ja tak jestem szczęśliwy, gdy cię pani mogę widzieć i rozmawiać z tobą!...

Był blady, usta mu lekko drgały, a oczy jakby krwią zabiegły. Róża przestraszona rękę wyrwała.

— Pan mi się wydajesz cierpiący... prawdopodobnie zaszkodziło ci dzisiejsze gorąco... Do widzenia!

To powiedziawszy, pospieszyła za *Neptunem*, który z koszem w białych zębach, biegł przodem wesoło ogonem wymachując.

Garbus zrobił ruch, jakby się chciał rzucić za nią; prędko atoli odzyskał umysłu przytomność, i został tak długo na dawnem miejscu, póki jej parasolka i kapelusik z niebieskiemi wstążkami, nie znikły w ogródku, znajdującym się przed chatą Praksedy.

ROZDZIAŁ II.

PAN JAKÓB STERN.

Garbusek wrócił na drogę. Nie uszedł jeszcze daleko, gdy za sobą usłyszał trzask z bata i turkot powozu nadjeżdżającego. Obejrzawszy się, poznał czwórkę i kocz pana Jakóba Sterna. Chciał zejść z drogi i puścić się ścieżką, która między zboża prowadziła, lecz czasu mu brakło. Właśnie powóz go dopędził.

— *Halt!* Stój! — krzyknął na woźnicę pan Stern, który nie siedział, lecz leżał w powozie, a gdy Jan konie zatrzymał, obracając się do garbusa, poprawną niemieczczyzną zapytał: — Z kąd pan wraca, panie sekretarzu?

— Ze szkoły... odniosłem pieniądze — odpowiedział z niskim ukłonem.

— To bardzo dobrze — rzekł Stern, tym razem po polsku, lecz takim akcentem, że natychmiast można w nim było żyda poznać — niech wiedzą, że i o nich pamiętam... A teraz zapewne idziesz pan do domu?

— Tak jest.

— No, niech pan ze mną jedzie... na pańskie nogi droga trochę za daleka.

— Dziękuję... chętnie pójdę pieszo.

— Niech się pan nie żenuje. Hej! Janie, zrób miejsce, bo pan sekretarz siądzie przy tobie.

Jan posunął się na koniec kozła; garbusek jakoś się nie spieszył. Jego twarz była teraz bledsza, i uśmiech sarkastyczny usta mu wykrzywiał.

— No, czemu pan nie siada?

— Bo na koziołku jeszcze nigdy nie siedziałem... Nie tylko ludzie bogaci, nawet książęta i królowie sadzają obok siebie swoich sekretarzów.

— No, no, niech pan obok mnie siada, *ich bin doch liberal!*

Rzekłszy to, spojrzał w prawo i w lewo, czy kto na niego nie patrzy. W rzeczy samej, o kroków kilkanaście, pod kaplicą św. Jana Chrzciciela, którą właśnie robotnicy naprawiali, siedział jakiś mężczyzna w kapocie szaraczkowej, z dużą, czarną brodą, i zdawał się uważnie naszym znajomym przypatrywać. Stern rzucił na niego okiem przelotnie, a zobaczywszy robotników, zwrócił się do garbusa i zapytał:

— Ciekawym czemu ludzie na takie rzeczy pieniądze wydają?

— To proboszcz naprawia kaplicę dla parafjan swoim kosztem.

— Kto słyszał robić takie głupstwa w dziewiętnastym wieku! *Das ist ja feudal und klerikal!*

To powiedziawszy obrócił się do kaplicy i pogardliwie na drogę plunął. Jan poruszył się na koźle, i ukosem żyda zmierzył, garbus zaś zębami zgrzytnął i kapelusz głębiej na oczy nacisnął. W chwili gdy pan Stern pluł, oko jego padło po raz drugi na nieznajomego, który pod kaplicą siedział. Tym razem jakiś czas uważnie mu się przypatrywał, a gdy i tamten wzrok swój w niego wlepił, twarz mu tak pobladła, że to aż garbus zauważył.

— Co panu jest? — zapytał.

— *Gur nischt* — cicho szepnął, lecz zaraz głośniej dodał: — Janie jedź!

Konie ruszyły. Garbus uderzony zmięszaniem swego chlebodawcy, pół ciałem z powozu się wychylił, aby się przekonać, co go tak zaniepokoiło. Nic jednak nie zobaczył, krom nieznajomego pod kaplicą, który powstawszy, odprowadzał teraz wzrokiem odjeżdżających.

(C. d. n.)

BALLADA ZROZPACZONEGO.

H. MURGERA.

— Któż to puka tam od dwora?
— To ja, otwórz!
— Już nie w dobie
Mnie odwiedzać, późna pora,
Północ... Jakże imię tobie?
— Otwórz!
— Imię!
— Lodem ścięty
Śnieg wciąż mży, mróz w oczy kole,
Otwórz!
— Imię!
— W zimnym dole
Trup, mniej niźli ja zziębnięty,
Bez spoczynku przez dzień cały
Błądzę, nogi mi skostniały,
Przebiegają ciało dreszcze,
Daj się ogrzać!
— O! nie jeszcze,
Powiedz imię.
— Jestem chwałą,
Do nieśmiertelności wiodę.
— Puste widmo precz!
— Wspaniałą
Daj gościnność, a w nagrodę,
Przyjmij miłość w złotej złudzie,
Bo młodością zwą mnie ludzie.

— Idź precz, złudna twoja siła,
Mnie kochanka opuściła.

— Będziesz wielkim, wsławisz imię,
Jam poezją.
— Próżny dymie,
Inni przyjmą cię z zapałem,
Szczęśni, jeszcze marzyć mogą,
Ja kochałem i spiewałem,
Dzisiaj nie mam już dla kogo.

— Jam bogactwem, we mnie płoną
Skarby, ów cel ludzkich chuci,
Ja ci wrócę ulubioną.
Otwórz!

— Miłość któż mi zwróci?

— Jestem władzą, oddam tobie
Ziemie, abyś rządził niemi.
Otwórz!
— Nie wskrzesisz z pod ziemi
Tych, co legli w zimnym grobie.

— Pragniesz, bym ci imię moje
Rzekła szczerze, słuchaj człecze:
Jam śmierć, ludzkie troski, znoje,
Co się pełza, co się wlecze,
Ginie we mnie, oto klucze...
Które wiodą w kraj nieznany,
Zapomnienia ludzi uczę
I zacieram serca rany.

— O! wejdź do mnie! drzwi otworzę
W oścież, odwiedź moją chatę,
Sprzęty moje nie bogate
I nie miękkie moje łoże;
Wejdź! posadzę cię przy stole
I ugoszczę — nie daremnie —
Umrzeć dawno miałem wolę,
Lecz odwagi brakło we mnie.
Do ogniska cię powiodę,
I nakarmię — a w nagrodę
W zimne porwij mnię objęcia,
Wejdź ty drużko moja szczera,
Już grobowe czuję dreszcze...
Lecz niech pies mój nie umiera,
By ktoś po mnie płakał jeszcze.

W. Szymanowski.

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO.

I.

Statek morski, przychodzący z Folkestone do Boulogne, spóźnił się o dwie godziny. Bardzo to dużo jak na ową porę. Było to w wrześniu, w czasie największego przypływu. Statek płynął zwolna kołysząc się wśród wiatru i gęstego deszczu, walczących z sobą zacięcie. Noc zapadała, co jeszcze więcej utrudniało podróż, a sama mgła gęsta bez wiatru, deszczu i nocy, byłaby dostatecznie usprawiedliwiała przezorność pasażerów, którzy chronili się do salonu i kajut. Dwóch podróżnych pozostało jedynie na pokładzie, dwóch Francuzów. Czy to przez upodobanie, czy z rezygnacyi, czy mniej przykrym był im widok morza rozhukanego, niż choroby morskiej, której podlegali podróżni.

Jeden z nich mógł mieć około lat pięćdziesiąt dwa do trzy, ale mógł uchodzić za czterdziestoletniego. Postawy okazałej, czerstwej, o rysach regularnych, które zachowują cechę młodości, chociaż już młodość minęła; jak ci urzędnicy, co długo pozostawali w służbie, zachowują jeszcze cechę służbową, choć już są dymisjonowani.

Wiatr, deszcz i kurzawa z fali rozbijającej się o statek, rozburzyły naturalnie starannie przyczesane faworyty i policzki zwykle matowej bladości zarumieniły się fioletowo, a cała postać i ubiór podróżnego ulegały pewnemu nieładowi; jednakże mimo tego, jakaś godność przebijała w całej tej postaci, a na odwagę zasługiwała odwaga i zimna krew, z jaką wystawiał się na niepogodę, nie obawiając się, by mu to zaszkodzić mogło.

Był owinięty w pled założony na piersiach, czapeczka szkocka spoczywała mocno na jego głowie, grube rękawiczki okrywały ręce. Tak zaopatrzony siedział na brzegu ławeczki przymocowanej wzdłuż pokładu, a gdy wiatr nie chłostał go nadto i deszcz nie bił w twarz, bawił się, paląc cygaro, patrzeniem na piętrzące się bałwany.

Drugi był młodym, nie mającym więcej nad dwadzieścia dwa, do dwudziestu trzech lat. Wysoki, szczupły, brunet, czy też opalony, można było bowiem dostrzedz, skoro unosił czapeczkę, pewną różnicę cery górnej części czoła, zawsze ochronionego, od części dolnej, odkrytej. Żywy, o oczach czarnych, często się iskrzących, o włosach gęstych, kasztanowatych, przystrzyżonych krótko, z twarzą więcej wyrazistą, niż ładną, zdawał się niecierpliwie wyglądać końca podróży i niecierpliwił się niepogodą, bo podróż przewlekała.

To też powstawał, zakładając na krzyż ręce i starając się utrzymać równowagę na kołyszącym się pokładzie, a fala biła mu w oczy; to znów gniewając się na własną nieudolność rzucał się na ławę, podnosił z gniewem kołnierz paletota i wpadał jak dziecko grymaśne w zły humor, mrucząc zgryźliwie.

Podróżny poważny i wyniosły spoglądał raz po raz na młodzieńca, którego żywy temperament podobał mu się; myślał sobie w duchu, że ma za towarzysza wyczekiwanego kochanka, lub dziecko zepsute, na które czeka cielec tłusty na rożnie, lub też ambitnego rycerza, który z podwójnem zwycięstwem powraca z jakiejś wyprawy Argonautów.

Mogę od razu powiedzieć, że podróżny o owej fizjonomji urzędowej mylił się.

Abel de Moranes powracał do swego ojca po czteroletniej podróży przedsięwziętej w celach naukowych. — Jeżeli niecierpliwiła go słota, to dla tego, że porównywał ją z prawdziwemi nawalnicami, którym stawiał czoło na morzu meksykańskiem i że odważny wśród niebezpieczeństw, nie cierpiał małych przeciwności. Nie jeździł zaś po złote runo, ale przywoził z sobą skarby wiedzy, z których mógłby być dumnym, gdyby duma wrodzona, wiodąca go do nauki, nie była mu wzbraniała chełpić się ze skarbu swej wiedzy; był tylko szczęśliwy przez wzgląd na swego ojca, pana Jana de Moranes, członka i korespondenta akademji, wielkiego uczonego, który spokojnie siedząc na prowincji i nie myśląc o tem, przyczyniał się nie mało do sławy Francji.

Abel nie miał w tej chwili ani ochoty, ani humoru do spostrzeżeń. Cała jego uwaga skierowaną była na swe pakunki, rysunki, zielniki i kamienie. Nie byłby nawet spostrzegł swego towarzysza przemokłego, gdyby palące się cygaro, z którego dym wiatr mu przynosił regularnie co trzy minuty, nie było ściągnęło jego uwagi.

Gniewało go to oko błyszczące w ciemności, zwrócone ku niemu. Pragnął aby przygasło; namyśliwszy się jednak nagle i idąc za kapryśnym choć stanowczym temperamentem swej natury, zauważył, że lepiej będzie zapalić cygareto u tego cygara i zaciągnąć się niem podobnie jak ten pełen wytrwałości podróżny, co urągając słocie, nie lękał się, aby mu deszcz zagasił jego małą lampkę.

To też wydobył Abel cygaretto z kieszeni, zbliżył się do palącego i pokłonił mu się lekko, co jest znakiem niejako masońskim u palaczy.

Poważny jegomość wyciągnął grzecznie swoje cygaro, strzepnąwszy wpierw zeń popiół. Spostrzegłszy zaś przy słabym płomyku zapalonego papierka stan opłakany owego cygaretta zmiętego w kieszeni, powiedział do Abla:
— Cygaro będzie lepsze. Czy pan pozwolisz ofiarować sobie jedno?

Ton słów tych był naturalny i grzeczny, właściwy ludziom dobrze wychowanym, którzy łatwo poznają się między sobą.

Abel nie śmiał odmówić. Złamał cygaretto, które wrzucił do morza, a wziął bez namysłu ofiarowane sobie cygaro.

Podróżny w pledzie szkockim, który powstał, aby ogień podać, zasiadł napowrót na ławce.

Abel zawahał się nieco, czy usiąść, obawiając się być natrętnym. Stał zatem przez trzy minuty, usilnie opierając się poruszeniem statku.

— Masz pan nogi marynarza — rzekł doń jegomość z miną biuralisty.

— Prawda panie; przez cztery lata miałem czas nabyć tej małej wprawy.

Gdy zaś podróżny na to nie odpowiedział, Abel de Moranes zrozumiał, że człowiek ten dobrze wychowany, starszy od niego, nie chciał być niedyskretnym i pozostawił mu pierwszy krok zbliżenia się.

Aby więc zapłacić grzecznością za cygaro otrzymane, a dalej, aby zadość uczynić chęci wyrzucenia gniewu swego, za to opóźnione przybycie, dodał:

— Jadę wprost z Panamy. Znam lepiej brzegi Ameryki niż Francji.

Podróżny z cygarem spojrzał na niego, skinąwszy grzecznie głową, jakby na zachętę do dalszej rozmowy.

Abel usiadł i opowiadał, że zwiedził także Antylle i Jamaikę. Nie wspomniał ze skromności o swoich pracach, a jeżeli nie wymienił swego nazwiska to dla tego, że bał się przywłaszczyć sobie cośkolwiek ze sławy ojcowskiej. Wyznał jednak, że zachwycony był tą podróżą i byłby swój pobyt tam przedłużył, gdyby tęsknota za ogniskiem rodzinnem nie była go pochwyciła.

— Mam siostrę, która dawno powinna była pójść za mąż, więc powracam, aby ją wyłajać. Po ślubie, co moją jest rzeczą! odjadę znów, chyba żebym ojcu był potrzebny.

Na wspomnienie siostry uśmiechnął się, a mówiąc o ojcu, głos jego stał się czule poważnym.

— Pan lubisz podróże? — zapytał jegomość w pledzie.

— Nie bardzo — odpowiedział wesoło Abel — ale lubię korzyści podróży, to też odbywam je chętnie, a przyznam się panu, że ta dzisiejsza przeprawa irytowała mnie niezmiernie... jeszcze przed kwadransem.

— Rodzina pana oczekuje?

— Tak panie; a odkąd jestem w Europie, zdaje mi się żem w domu. *La Manche* wydaje mi się rowkiem, który przeskoczyć można; mam zresztą nadzieję, że staniemy przed nocą... Mam interes do załatwienia w Boulogne, a miasta nie znam.

— Pan pierwszy raz doń przybywasz?

— Po drugi raz, panie. Mój ojciec dopiero od kilku lat mieszka w tych stronach.

— Polecam panu moje usługi. Znam doskonale Boulogne, a jeżeli przyjmiesz mnie pan za cycerona...

— Dziękuję panu; zastanę na brzegu powóz, który mi ojciec przyszle, bo gdybym jeszcze miał mieć ambaras z omnibusem, lub pocztą, zachorowałbym chyba; jestem tylko marynarzem na morzu.

— Nie chorujesz pan nigdy na morzu?

— Nie. Zapewne dla tego, że jestem trochę szaleńcem.

— Jakto?

— To teorja pewnego doktora amerykańskiego, pana Brown, który utrzymuje, że szaleni nigdy nie miewają morskiej choroby i że, aby ich wyleczyć, trzeba ich na nią wystawić. Założył w pobliżu Nowego Jorku pływający dom warjatów. Skoro który z jego chorych blednie, doktor jest szczęśliwym. Najświetniej jego kuracja okazała się na pewnym aktorze z Nowego Orleanu, który był obłąkany jako król Lear, a który umarł z tego lekarstwa, to jest z morskiej choroby, podanej mu w przesadzonej dozie. Co do mnie, jestem nie do uleczenia.

Abel rozśmiał się wesoło. Towarzysz sekundował mu szczerze. Młodość i szczerość pokonała do reszty owego człowieka poważnego. Rozmowa tak rozpoczęta toczyła się dalej; Abel mięszał koncepta studenta z opisami podróży, a towarzysz nieznany, odpowiadając mu rozumnie i z dobrocią, nie pozwalał sobie nigdy wyciągać go na słówka, zostawiając do woli młodego podróżnika, poufne zwierzenia.

Pewien rodzaj melancholji, rozlany na twarzy starszego, był dla Abla zachętą. Czy miał syna, którego mu Abel przypominał? Czy żałował że nie ma równie inteligentnego i trzpiotowatego, jak tenże? Czy tylko był wzruszonym, jak człowiek, chylący się ku starości, na widok młodości, która w nim zazdrość budzi?

Wreszcie czerwone światła portu zabłysły; statek wjechał w kanał; dzwon nadbrzeżny zapowiedział wylądowanie.

Abel de Moranes, któremu ostatnie chwile upłynęły wesoło, zawołał:

— Jakto, już jesteśmy?

Wrodzona serdeczność kazała mu zapomnieć o złym humorze i nudach przeprawy. Tak się czuł szczęśliwym, że stanął w porcie, a tak wdzięcznym za cygaro, które dopalał, że był w sprzeczności sam sobą i kłamał bezwiednie; najoczywistszy to dowód szczerości ludzkiej.

Ukłon prawie serdeczny został zamieniony na brzegu, a potem troska o rzeczy; egoizm, który jest właściwy każdemu przybyłemu, rozłączył tych przyjaciół jednej godziny, którzy powiedzieli sobie tak wiele, a nie chcieli popsuć uroku tego chwilowego zaufania formułkami światowemi, czczemi zapewnieniami przyjaźni i szacunku. Abel nie wymienił swego nazwiska i nie spytał o nazwisko przyjaciela. Zostanie mu miłem wspomnieniem z podróży. Jeżeli sposobność znów się nadarzy, wtedy będą mieli prawo do przedstawienia się sobie nawzajem i do zbliżenia się. Dotąd jednak dobre wychowanie nakazywało mu nie przywiązywać do tej znajomości większego znaczenia, niż to, które się daje z konieczności spotkania w podróży.

Abel jak wiemy, spodziewał się zastać na brzegu

powóz swego ojca. Nie było go. Kazał poznosić swoje rzeczy, zanieść je do biura celnego, podczas gdy sam, popadłszy w dawny zły humor i niecierpliwiąc się przeciwnościami, chodził wzdłuż wybrzeża, szukając, nawołując niewidzialnego woźnicę, odprawiając ofiarujące mu się powozy i drżąc z obawy na myśl, co mogło spowodować to opóźnienie.

Jednakże przywykły do podróżowania, nie ambarasował się ani chwili. Polecił komisjonerowi, aby został na wybrzeżu i czekał na powóz, który niebawem musi nadjechać. Sam zapytał o adres domu bankowego „Mourret — Courberon i Sp.“

Komisjoner podał go, dodając:

— Biura już będą zamknięte.

— Każę sobie otworzyć.

Słowa te były mniejszą przechwałką, niż się wydaje. Abel wiedział z doświadczenia, że w miastach portowych pewne domy bankowe, będące zarazem domami komisowemi, czekają zwykle na przybycie statków, aby pozałatwiać sprawy bieżące, odebrać wiadomości nadeszłe i wypłacić weksle przybyłym podróżnym.

Abel de Moranes znajdował się właśnie w ostatnim wypadku.

Oprócz skrzyń, pełnych starożytności meksykańskich, napisów lapidarnych, których nie umiał odczytać na miejscu, które zatem wolał zakupić i przywieźć swojemu ojcu uczonemu, wiózł jeszcze próby materji, owoców, likworów, z różnych stron, które zwiedzał. Cło było znaczne, które opłacić musiał. Żeby zaś nie jeździć z wypchaną portmonetką, wziął w Folkestone weksel na dom Mourret — Courberon i Sp. w Boulogne.

Bank miał biura blisko wybrzeża. Abel znalazł je z łatwością.

Gdy wszedł do pokoju, jeszcze oświetlonego, nad drzwiami, którego stał napis „kasa“, spostrzegł, że za kratą okna zakrytego zieloną firanką, oddzielającego kasjera od publiczności, składano i porządkowano spiesznie i hałaśliwie. Zanim zbliżył się do kraty, głos młody i stanowczy krzyknął.

— Za późno!

— Za późno! na co? — zapytał krótko Abel.

— Na odebranie pieniędzy.

— A gdyby to było na przyjęcie.

— Byłoby to samo, przyjdź pan jutro.

— W takim razie za późno, aby mnie odsyłać z niczem. Jutro już nie będę w Boulogne, jestem tutaj dziś tylko. Potrzebuję moich pieniędzy, a nie moja wina, jeżeli się statek spóźnił i nie przyszedł przed południem.

— Już pół godziny minęło, jak pasażerowie wylądowali — odparł cierpko kasjer. — Miałeś pan czas do przybycia.

Niegrzeczność była widoczna; było to wyzwanie brutalne.

— Pan się mylisz! — zawołał Abel głosem, który mówił: „Pan kłamiesz“.

Kasjer zgniótł w ręku notatki, które układał, poruszył kałamarz i dalej składał, nie racząc odpowiedzieć. Podniósł rękę do kurka gazowego, by przestrzedz podróżnego, że zagasi światło, więc daremnie na niego nalegać.

Ablowi zarumieniła się twarz gniewnie.

Zielona firanka, dosyć gęsta, nie pozwalała dokładnie śledzić ruchów kasjera; po głosie jego poznał jednak Abel, że był ten człowiek w jego wieku Nie potrzebował zatem hamować się.

Oparł się o kratę i głosem stanowczym zawołał:

— Panie, przybywam z Ameryki, a mimo wszystkiego, co opowiadają o kraju dolarów, mogę panu zaręczyć, że ani jednego człowieka pieniężnego, nie znalazłem równie niegrzecznego jak pan. Oto mój weksel i oto moja karta. Weź pan jedno albo drugie, zresztą oba jak się panu podoba. Nie wyjdę jednak z tąd, póki nie dostanę odpowiedzi na jedno lub drugie.

Mówiąc to wsunął przez kratę ręką drzącą kartę wizytową i weksel.

Młody kasjer, doprowadzony do równej niecierpliwości, chciał odsunąć to, co mu jako groźbę podsuwano. Ale gestem równie niecierpliwym trącił kartę, która spadła na jego biurko. Pochylił się, by ją podnieść, a podnosząc odczytał ją mimowoli. Przytłumiony krzyk wydobył mu się z piersi. Półgłosem przeczytał nazwisko i pochylił się, aby przez kratę popatrzeć na Abla.

Młody Moranes spostrzegł wrażenie, jakie wywarło jego nazwisko. Przypisał je sławie swego ojca, wbiło go to w dumę. Wyprostował się dumnie i ani spojrzał na kasjera, który przypatrywał mu się ciekawie.

Kurek od gazu został poruszony; krata się otworzyła, a pełnomocnik grzeczności i rozumu kupieckiego domu Mourret — Courberon i Sp. podał przez otwór pióro Ablowi, prosząc o podpisanie wekslu, a podczas gdy młody podróżny pisał, kasjer roztwierał kasę. Suma objęta wekslem, została położona na oknie w biletach bankowych, a tonem, który już nie był niegrzecznym, ale zawsze pewną szorstkość zachował, zapytał z przymusem.

— Czy pan wolisz złoto?

— Wszystko mi jedno — odrzekł Abel bez gniewu, ale nie zapominając o pierwszej niegrzeczności, która teraz złagodzona była, koniecznością urzędową.

Zabrał pieniądze, do kieszeni je włożył i wyszedł z biura w kapeluszu na głowie, odprowadzony aż do progu wzrokiem młodego kasjera, zadowolonego widocznie, że poznał pana Abla de Moranes.

II.

Abel powrócił spiesznie na miejsce, gdzie zostawił czekającego komisjonera.

Powóz ojcowski dotąd nie przybył.

— Istotnie — mówił młody podróżny — mój powrót źle się zaczyna. Niegrzeczności młodego głupca po niegrzecznościach morskich, a do tego opóźnienie. Czy miałoby zajść co złego? Nie, nieszczęście w takim

razie zwiastuje zawsze ambasada. To po prostu przeciwności nieznośne.

Kazał komisjonerowi dalej czekać, aż załatwi się z komorą celną. Później najmie sobie powóz, który go zawiezie do pałacu ojcowskiego, położonego na drodze do Saint-Omer, kilka kilometrów od Boulogne. Chciał zawstydzić siostrę swoją, za tę opieszałość, którą jej przypisywał. Za nic w świecie nie byłby przepędził nocy w mieście.

W biurze celnem zastał towarzysza podróży, który dopełniał formalności za transport zapasu cygar.

Pokłonili się sobie jak dobrzy znajomi. Abel, zawdzięczający miłemu człowiekowi, przyjemny koniec podróży, uśmiechnął się doń, jak do zbawienia.

Uwolniony z pledu, bez naciśniętej czapki, z faworytami przyprowadzonemi do porządku, ów podróżny okazywał się tem, czem zapewne był w istocie, człowiekiem eleganckim bez przesady, światowym bez pretensji, przystojnym, nie chełpiącym się ze swych sukcesów, ale używającym z wrodzonym mu wdziękiem darów, któremi go natura obdarzyła.

Ów nieznajomy stanowczo podobał się Ablowi de Moranes, który ucieszył się dziecinnie, że go znów spotkał. Skoro zatem nieznajomy, usłyszawszy że powóz jeszcze nie nadjechał, zaproponował Ablowi, aby poszli razem do restauracji, w której zbierali się członkowie kasyna, przyjął tenże chętnie tę propozycję.

— Pozwól pan tylko, abym przestrzegł komisjonera, który czeka na wybrzeżu. Przyjdzie mi dać znać do restauracji, zamiast szukać mnie tutaj. Służę panu za pięć minut.

Dyskretny podróżny poszedł naprzód, podczas gdy Abel załatwił rachunki celne i szedł zawiadomić komisjonera.

Nieznajomy czekał nań w restauracji, gdzie zamówił osobny pokój i obstalował ciepły napój.

— To mi nie wystarcza — rzekł śmiejąc się Abel. — Mnie zimno i głodnym porządnie, a w domu zapewne będzie po obiedzie, gdy przybędę dziś wieczorem lub w nocy.

— A więc zjedzmy obiad — rzekł podróżny.

Abel widząc, że nieznajomy bierze kartę i przebiega ją okiem znawcy, uczuł, że dziwnie stał się poufałym i sam zapraszał się na towarzysza obcemu.

— Wybacz pan — powiedział, rumieniąc się i wyciągając rękę po kartę.

Podróżny wstrzymał rękę wyciągniętą, a ściskając ją w swej dłoni:

— Nie wybaczam — powiedział — ja dziękuję panu. Pan przybywasz, ja powracam do miasta, w którem większą połowę roku spędziłem. Jesteś pan u mnie, ja tu rozkazuję. Tylko że ja rozkażę to, czego pan zapragniesz. Co pan lubisz?

— O! ja wszystko lubię — zawołał Moranes z młodzieńczą otwartością, która od razu była podziękowaniem za gościnność nieznajomego.

Nieznajomy uśmiechnął się wesoło, i jak człowiek obeznany z lokalnością i zwyczajami, wydał szybkie rozkazy.

Abel czuł się trochę upokorzony tym wdziękiem i wyższością. Ale ulegał egoizmowi zmęczonego podróżnego, który cieszy się powrotem i uważa za rzecz słuszną, że go pieszczą cokolwiek, gdyż gotów odpłacać się zato wdzięcznością.

Rozmowa przerwana na statku ciągnęła się dalej, tylko z większą swobodą i większem wylaniem.

Pół godziny starczyło na zawarcie bliższej znajomości.

Każdy z mówiących czuł się pociągniętym sympatją do towarzysza. Nazwisk dotąd nie wymieniono, i żaden z nich nie myślał wcale o tem, bo obaj uważali się za dobrych i dawnych znajomych.

Abel mniej opowiadał o swoich podróżach, ale więcej pytał nieznajomego, który pierwszy pił na jego zdrowie po powrocie do kraju. Dowiedział się zatem, że i tenże podróżował wiele, ale tylko po Europie, i posiadał wiadomości gruntowne o wielu rzeczach. Musiał być wdowcem, albo starym kawalerem według przypuszczeń Abla, który lubił zagadki, nie siląc się nad ich rozwiązaniem.

Pierścionek, podobny do tych, które się zamieniają między małżonkami, był dowodem wierności ze strony nieznajomego, czy to dla uczucia legalnego lub dobrowolnego, czy też wspomnienia. Nie zdawało się żeby był żonatym, bo dwa, czy trzy razy powtórzył: „Ja, który jestem sam"! Mógł być wdowcem, ale prawdopodobnie nie był ani żonatym, ani wdowcem. Jego spokojna, melancholja łatwość, z jaką przyjmował towarzystwo młodego człowieka, a zarazem powaga, z jaką słuchał opowiadań o życiu familijnem, nie chwaląc ani słówkiem przyjemności ogniska domowego, uśmiechając się tylko słabo i z pewną tęsknotą, wszystko potwierdzało, że był to człowiek bogaty, niezależny, noszący tylko jedne kajdany, z których był dumny, które sam sobie nałożył, a z których nie miał prawa się chlubić, ani może wyrzekać, jeżeli przez nie cierpiał.

Widzimy że Abel de Moranes, chociaż trzpiot i wesoły, był nie złym obserwatorem obok swych badań w rzeczach starożytności.

Nawet jako badacz z powołania, jako syn uczonego, wtajemniczony w naukę, która go do ciągłych poszukiwań zachęcała, był uważny i wrażliwy na najmniejszą rzecz, która zaostrzała jego ciekawość. Podano obiad, a Abel rozprawiając jadł i pił, tak jak jadł i pił w czasie podróży, połykając szybko duże kawałki, wychylając duszkiem kieliszki, które stawiał próżne głośno na stole. Nieznajomy cieszył się tym apetytem i nalewał z uśmiechem wino młodemu towarzyszowi. — Byli sami, mogli rozmawiać głośno, i jeść bez żeny. Nie spostrzegli młodego człowieka, który uchyliwszy drzwi i zobaczywszy nieznajomego, prosto szedł do niego, nie patrząc na Abla odwróconego plecami.

— Nareszcie jesteś pan, panie de Somery! — zawołał nowo przybyły. — Kiedy powróciłeś?

— Przed godziną.

— A! powracasz pan z Anglji?

— Tak, statkiem.

— Czy szczęśliwą była podróż?

— Bardzo.

— Straciłeś pan, żeś nie widział ostatniego balu w kasynie.

Tak rozprawiając z ową lekkością prowincjonalną, która chce żargon paryski naśladować, nowo przybyły doszedł do stołu; brał właśnie krzesło i zabierał się zasiąść na niem jak na koniu i chciał pokłonić się Ablowi, gdy na widok młodego Morana zatrzymał się zdziwiony, cofnął się, puścił krzesło i stanął nieruchomy, spoglądając na pana de Somery, z uśmiechem ciekawym, ironicznym i złośliwym.

Pan de Somery sądząc, że ta niepewna pozycja była dlań wymówką o niedopełnieuie formalności, pośpieszył naprawić swój błąd i przedstawić nowo przybyłego swemu towarzyszowi.

— Pan Juljusz Courberon z domu Mourret Courberon i Spółka, jeden z naszych najzagorzalszych tancerzy kasyna.

Abel powstał, marszcząc czoło. Poznał bowiem w nim młodzieńca, który go tak niegrzecznie przyjął w banku.

— O! pan de Moranes zna mnie już — odrzekł Juljusz Courberon — nie jako tancerza, ale jako kasjera.

Zdawało się, jakby wymawiał z akcentem każde z tych słów.

Pan de Somery był nie mało zdziwiony, a to zdziwienie przewyższało o wiele konsternacją młodego Courberona. Słysząc nazwisko de Moranes, zadrżał i podniósł się na pół z krzesła; zbladł, zarumienił się, przymrużył oczy i mimowoli odsunął się cokolwiek.

(C. d. n)

Między siedmnastym a dwudziestym rokiem.

NOWELLA.

Nadeszła siedemnasta rocznica mego urodzenia. Dzień dla mnie podwójnie uroczysty, gdyż byłam na śmierć zakochaną.

Przedmiotem moich zapałów był Zdzisław Kwiatkowski, inżynier na stacji kolei w H., graniczącej z majątkiem wuja mego. Czem są dla panien w stolicy oficerowie od kawalerji, tem dla nas gąsek wiejskich stają się inżynierowie po stacjach okolicznych. Jeden bal, jeden śmiały atak, i biedne, niewinne serduszko, ni to ptaszyna raniona śmiertelnie, pada u jego nóg zwyciężone

Zaborcą mojego serca siedemnastoletniego, był tedy ów wzwyż wymieniony p. Kwiatkowski, który nie tylko był ze mną na balu, lecz nad zwykły program grał wspólnie teatr amatorski, w której to sztuce, ja byłam nader sentymentalną kochanką, on jeszcze czulszym kochankiem. Wtedy to serce moje, jak krater wulkanu, wybuchło płomieniem miłości ku niemu.

Na pytanie: „czy widzę w nim ideał wszelkich męzkich doskonałości"? byłabym bez wahania tak odpowiedziała — gdyby jednak ktoś żądał odemnie, bym mu to bliżej określiła, wprowadził by mnie w nielada ambaras. Dlaczego kochamy w siedemnastym roku? Alboż my same wiemy! Dlaczego ptak buja w eterach powietrznych, dlaczego rybka pluszcze się wesoło w srebrnej wód toni? bo im to niezbędnie do życia potrzebne.

Zdzisław Kwiatkowski, był więc moim ideałem, a ktokolwiek byłby śmiał utrzymywać przeciwnie, zostałby poczytany, za mego wroga nieprzejednanego.

Tańczył jak anioł! (przypuściwszy że aniołowie w niebie tańcują) odegrał swoją rolę mistrzowsko. Gdyby zmartwychwstał Dawison, byłby pewno lepiej tejże nie oddał. Wszystko to w moich oczach naturalnie, gdyż byli tak niegodziwi, którzy śmieli utrzymywać, że tańczy niezgrabnie, a rolę odgadał, jak student, który przed profesorem źle wyuczoną lekcję recytuje. „Ale któż Zoilów słucha" — jak mówi poeta. — Wszak i mnie koleżanki zapewniały w swojej złośliwości, że byłam sztywną jak marjonetka, a w scenach najbardziej tkliwych. krzywiłam się jak po zażyciu rumbarbarum.

Na czele krytyków najzjadliwszych stała moja siostra cioteczna Basia, której za to wieczną nienawiść poprzysięgłam.

Wuj poczciwy na uczczenie mojej siedemnastej rocznicy, obiecał dać balik, na którym miałyśmy tańczyć do dnia białego. Muzykę w najbliższem miasteczku zamówiono, młodzież okoliczną wuj *en masse* zaprosił. Zabawa obiecywała być świetną, boską!

Spodziewałam się od rana mego ideału. „Nie zechce przecież — myślałam sobie — zmięszać się z resztą śmiertelników, będzie się starał złożyć mi życzenia osobno, wcześniej od innych". To też skorom oczy otworzyła, stroić się zaczęłam, co nie uszło złośliwej uwadze, i prześladowaniu Basi.

Był to trzpiot niesłychany, ta Basia! W gruncie najpoczciwsza dziewczyna, złote serce, ale biada temu, kogo raz na fundusz wzięła. Suchej nitki na nim nie zostawiła, na wszystkie strony go wynicowała, a tak umiała każdego przedstawić w karykaturze, że boki trzeba było zrywać od śmiechu.

Odpowiadałam na jej pociski jedynie spojrzeniem pogardliwem, a gdy zwierciadło wielce pochlebnie moją postać odbiło, usiadłam zadowolona, nibyto z robotą w ręku, w której atoli za całą godzinę ani jeden ścieg nie przybył, tak mi ręce drżały od gwałtownego bicia serca, w oczekiwaniu wizyty spodziewanej.

Nakoniec, przed objadem usłyszałam w przedpokoju znane mi kroki. On wszedł do salonu, w którym Basia coś uprzątała.

— Jaka nieznośna ta Basia! — pomyślałam — że też musiała wleść tam koniecznie, i jego pierwsza powitać. Niechby nawet była w Chinach, tylko nie w salonie!

Musiała przeczuć moje pobożne względem niej życzenia, gdyż wyniosła się szczęśliwie i już w sieniach ją spotkałam śmiejącą się jak zwykle.

— Spiesz się, spiesz — rzuciła mi zatrutą strzałę Parta nad odchodnem — twój czuły Kwiatkosio, czeka cię ze snopem, jeżeli nie tak długim, to przynajmniej tak grubym jak on sam. Jaki on też zawsze śmieszny ten twój ideał.

Na takie bluźnierstwo, gniewem spłonęłam. Mój ideał śmieszny! Cała zirytowana weszłam do salonu.

On stał na środku wystrojony co się zowie i trzymał w ręku bukiet... trochę może za wielkich rozmiarów, ale żeby go nazwać snopem, na to trzeba było Basi niegodziwości. Z miną nader uroczystą wręczył mi bukiet, i mówić zaczął.

Ah! jak on pięknie mówił. Wprawdzie prócz słów urywanych jak: „szczere uwielbienie... chęć odgadywania myśli moich... szczęśliwe godziny razem przeżyte“... nie wiele co więcej zrozumiałam i sensu dobrego złapać nie mogłam, jednak przemówienie to brzmiało w uszach jak muzyka najcudniejsza.

Drżąca, zarumieniona, stałam naprzeciw niego, za jedyną odpowiedź słodko się uśmiechając. Musiał mu atoli ten uśmiech dodać odwagi, gdyż przystąpił bliżej, i z czułością w rękę mnię pocałował. Zawstydzona, niewiedząc całkiem co dalej począć, ukryłam twarz w bukiecie, i do mego pokoiku uciekłam. Po drodze o mało Basi nie przewróciłam, tak byłam tem wszystkiem oszołomiona, a gdy usłyszałam jej kroki w przedpokoju, drugiemi drzwiami zbiegłam do ogrodu, by tam ukryć się w najciemniejszym jego kącie, przed jej szyderskim wzrokiem. Oglądnęłam ciekawie rękę ucałowaną. Na szczęście usta czarnemi wąsikami ozdobione, nie zostawiły na niej śladów widocznych. To mnię znacznie uspokoiło. Skoro nikt nie widział gdy całował, a na ręce nic nie znać, to i nikt się tego nie domyśli. Po chwili usłyszałam głos wuja wołający mnię: „Róziu! Róziu!“ Czy się odezwać, czy udać głuchą? Ogród nie wielki, i tak mnię rychło odszukają. Istotnie, skoro wyszłam z ukrycia, zetknęłem się oko w oko z wujem poczciwym, który pogłaskał mnię po twarzy z ojcowską czułością, zażartował dobrodusznie z mego bukietu, i z mojej miny tak pomięszanej, jakbym Bóg wie jaką zbrodnię popełniła, a wziąwszy mnię pod ramię nazad do salonu zaprowadził.

Oczy spuściłam na ostatni guzik, i za nic w świecie nie byłabym ich o jedną linję w górę podnieść śmiała. Na progu już mnie czekała moja prześladowczyni.

— Podnieś twe piękne oczy skromna Różyczko — zauważyła sarkastycznie. — Twój wierny adorator nie mógł zostać niestety! Ofiara losu przekornego, musiał wracać na linję. Pociesz się jednak serce miłością gorejące! Wieczór będziesz go znowu u twoich nóg miała. Tylko jeżeli przyjdzie do klękania, radzę niech będzie dwóch w odwodzie, by go podnieść, bo pewno g r u b a s i ń s k i sam się nie dźwignie. — I zachichotała śmiechem iście szatańskim. Boże! jak ona mnię drażniła!

Wieczór zapadał. Wujenka jeszcze się ubierała, Basia na szczęście także była nie widzialna, wuj przedłużał w nieskończoność drzemkę poobiednią, wiedząc że go czeka noc bezsenna. Przed domem zaturkotało. To był on!

Ręka w rękę, w milczeniu zeszliśmy do ogrodu, i usiedli na najbliższej ławeczce.

— Czy pani gniewasz się na mnie — spytał nieśmiało — że nie raczysz podnieść oczu. — I westchnął.

Oderwałam na chwilę oczy od końca trzewików, w które się uporczywie wpatrywałam, bąknęłam „za cóż bym się gniewać miała“ — i także westchnęłam. Po długiej pauzie poprosił mnię o pierwszego walca. Przyrzekłam go najchętniej... Wzdychamy i milczymy na przemian, a jednak tak mi błogo, jak gdybym się dostała na jaką wyspę zaczarowaną, gdzie nas tylko dwoje, a w około wieczna wiosna, wieczna rozkosz i szczęście panuje.

Goście zjeżdżający się, prędko nas z raju wypędzili. Trzeba było porzucić słodkie, chociaż milczące tête-à-tête i złączyć się z resztą towarzystwa.

Muzyka pierwszego walca zagrała, pan Zdzisław stanął przedemną.

Ujęta wpół jego silnem ramieniem, kręciłam się po sali upojona, oczarowana. W oczach mi się ćmiło, w uszach szumiało, w myśli tylko wirowały mi słowa *Marji* Malczewskiego:

„I tak mi błogo, tak mi nic nie trzeba,
„Jak gdybym w twem objęciu leciała do nieba“.

Trudno podczas takiej jazdy niebiańskiej pamiętać o ziemi i myśleć naprzykład: czy się tańczy w takt, czy bez taktu? Mnie też ta kwestja tyle obchodziła, co śnieg przeszłoroczny. Tańczyliśmy, póki nam tchu stało. Wreszcie posadził mnię i myślałam, że przy mnie usiądzie, tymczasem panowie zmusili go, by poszedł z nimi do ogrodu, dokąd ogromną wazę ponczu zaniesiono. Za to pojawił się mój zły duch, Basia.

— Wiesz, tak się uśmiałam — zagadała — że aż mnię w boku kłuje.

— Nader mało mnię to interesuje — mruknęłam niechętnie, przeczuwając że nowy pocisk we mnie ugodzi.

— Powinno cię to obchodzić — bo z twego Adonisa śmiałam się tak serdecznie.

Wstałam, by odejść, wprzód atoli rzuciłam jej wzrok piorunujący.

— Nie walcuj nigdy z twoim ideałem — kończyła bynajmniej moim gniewem nie zmięszana — skacze i podryguje jak wróbel na nitce, a zawsze pomiędzy taktem. — I znowu śmiechem szalonym wybuchła.

Uciekłam do sali jadalnej, by jej zejść z oczu, trafiłam atoli z deszczu pod rynnę. Kilka panienek chłodziło się tutaj bądź lemonjadą, bądź poziomkami (urodziny moje pod koniec czerwca wypadały) przyczem

oglądały mój stoliczek, na którym zgromadziłam wszystkie dary i bukiety, tego dnia szczęsnego odebrane.

Ah! tak zaczął się szczęśliwie, że piękniej nie można, a jednak, któż mógł przewidzieć, jakim będzie jego koniec?

— Od kogo też dostałaś ten bukiet straszliwy? — spytała jedna.

— Od pana Kwiatkowskiego — szepnęłam.

— Istna miotła! — zaśmiała się druga — A jak bez najmniejszego gustu ułożony!

— Nie darmo Kwiatkowski się nazywa — trzecia zauważyła — wszystkie zatem kwiaty równo ceni. I tobie, której Róża na imię, składa u nóg w ofierze, bukiet obrzydliwych piwonji.

— Bo piwonja do niego najpodobniejsza, — Klara wtrąciła — ztąd taka predylekcja. Na twojem miejscu, wyrzuciłabym za okno to szkaradzieństwo.

— Ha! ha! ha! — chórem się zaśmiały — dawać komu na urodziny bukiet z piwonji. Taki czyn heroiczny tylko Kwiatkosio w niewinności ducha swego spełnić potrafi!

Boże! słyszeć to wszystko i nie zemdleć! Na pół martwa wróciłam do salonu, wprzód jednak dość szorstko odcięłam się moim towarzyszkom, tak, że obrażone i nadąsane, raczyły przecież zamilknąć.

Kadryl się zaczął. Basia tańczyła na przeciw mnie ze Zdzisławem.

— Uważaj na nogi twojego Adonisa — szepnął mi ten Duch czarny do ucha. — Istne szczypce raka, do środka zakrzywione. — I skończywszy *Chaine de Dames*, jak gdyby nigdy nic na miejsce swoje wróciła.

Mimowoli w dół spojrzałam.

Nieszczęsny! Trzymał istotnie nogi w straszliwej pozycji. Palce stykały się z sobą, a pięty wraz z obcasami uciekały gdzieś w świat wykrzywione najokropniej. Dziwna natura ludzka! Odtąd jakaś siła magnetyczna, ciągnęła wzrok mój w dół; ani razu nie spojrzałam w te piękne oczy czarne, tak poczciwie na mnie patrzące, ani razu na te pełne koralowe usta, tak ładnym wąsikiem ozdobione, których uśmiech rozkoszny niedawno jeszcze mnię czarował... patrzyłam jedynie na owe nieszczęsne nogi jak szczypce u raka zakrzywione.

Skończył się kadryl i moja z nim nowa tortura.

— Oho! — zauważyła Basia nieubłagana — poleciał już pić poncz. Może co prawda w tym względzie koncerta dawać. Pije jak bąk, poczciwe chłopczysko.

— Tego już zanadto! — zerwałam się jak oparzona.— Wierutne kłamstwo! podłe oszczerstwo!

— Pójdź się sama przekonaj — zimno odrzekła, odchodząc za matką do przyległych pokoi.

Wahałam się czas jakiś, wreszcie wymknęłam się cichaczem do ogrodu.

Przy stole z ponczem było gwarno i wesoło. Prym Zdzisław trzymał niestety i wychylał szklanki jednę za drugą. Przeszłam się od niechcenia tam i nazad... mój widok trochę go zafrasował i zawstydził. Zerwał się na równe nogi, o krawędź stołu silnie się opierając, a znalazłszy jaki taki punkt środkowej ciężkości, ku mnie swe chwiejne kroki skierował. Tym razem plótł wiele, lecz sensu w tem nader mało było. Gdyby nie Basi niegodne poszepty, byłyby mnię słowa jego w siódme niebo uniosły. I teraz jeszcze wywierały na mnie pewne wrażenie. Coś mi szeptał, o coś mnię prosił, a biorąc za przyzwolenie okoliczność, żem nic nie odpowiadała, siedząc smutna i przygnębiona, tak zakończył:

— Jutro pomówię z wujem pani. Skoro on jeszcze pozwoli, będę uważał rzecz za skończoną.

Zmieszałam się okrutnie. Co on chciał przez to powiedzieć? Czy myśli jutro oświadczyć się wujowi o moją rękę? Serce mi dawną miłością w łonie uderzyło. E! co tam — pomyślałam — racze nogi, bez taktu taniec, i parę szklanek ponczu więcej! Czy to przeszkodzi nam do szczęścia? Panowie i tak po ślubie tańczyć przestają; a ponczu co dzień pić nie będzie, zresztą, jak będę jego żoną, to mu ładnie, pięknie wyperswaduję, że poncz zdrowiu szkodzi. Szklaneczkę... no, choćby kilka, toć i ja mu w domu nieraz przyrządzę, skoro tak ponczyk lubi.

W chwili gdym na nowo w błogim marzeniu utonęła, niegodziwa Basia dotknęła się mego ramienia.

— Nie wierz ani słowa z tego co ci naplótł — szepnęła — boć to poncz przez niego mówi. Pijaniuteńki, gdy wytrzeźwieje, z pewnością o wszystkiem zapomni.

Wstrząsłam się niby od gadu ukąszenia. Spojrzałam na niego. Wzrok miał zamglony, a twarz mu płonęła, jak prawdziwa piwonja, do której go nieznośna Klara porównywała.

Odwróciłam się ze wstrętem, i odeszłam w najciemniejszą, najodleglejszą aleję. Łzy mnię dusiły. Cała ranniejsza uciecha wionęła. Nie chciałam jednak by moja boleść zwracała czyjąś uwagę, więc pokonywałam ją walecznie.

Dano znać do kolacji.

— Ale i je niezgorzej — co najmniej za czterech — znowu przechodząc koło mnie rzuciła Basia od niechcenia.

— Boże! przestań mnię dręczyć! — zawołałam w rozpaczy, a jednak mimowoli oczy moje poszukały miejsca gdzie siedział ów G a r g a n t u a, który miał jeść za czterech.

Istotnie jadł przerażająco. Zębami kłapał jak rekin, mlaszcząc przy tem wstrętnie językiem. A oczami tak pożądliwie wodził po stole i półmiskach podawanych, jakby żałował, że wszystkiego na raz pożreć nie może.

Wstałam umyślnie i podeszłam na drugą stronę, myśląc że mój widok znowu go opamięta. Tym razem atoli zanadto był zatopiony w swojem najmilszem zajęciu. Ani mnię spostrzegł. Żuł i połykał dalej. Przemówiłam do niego. Cóż kiedy jednocześnie sąsiad po lewej stronie trącił się z nim kieliszkiem, i słowa przebrzmiały bez echa.

To już było więcej niż niestosownem, było naj-

większą w świecie nieprzyzwoitością, i pominięciem względów należnych każdej kobiecie.

Boże! w cóż się przemienił mój ideał? W maszynę pijącą jak bąk, jedzącą jak Gargantua, mlaszczącą językiem, a w dodatku osadzoną na dwóch nogach w kształcie raczych szczypców.

Byłam najnieszczęśliwszą pod słońcem istotą. Na resztę wieczoru schroniłam się do mego pokoiku, by tam, na owej poduszeczce, powiernicy tylu snów błogich, wypłakać łzy duszące mnię od kilku godzin.

Goście się rozjechali, cisza w około mnie zaległa, światła sztuczne pogasły by ustąpić miejsca słońcu, które teraz w majestacie niezrównanym z po za gór wypływało, złotemi promieniami cały świat rozweselając.

W mojej tylko duszy zrobiło się ciemno, straszliwie ciemno! w mojem sercu nagle zagasły płomienie, które przed kilku jeszcze godzinami z taką siłą aż pod same niebo bujały, owe Bóstwo, które siedemnastoletnia wyobraźnia stroiła niedawno we wszystkie możebne doskonałości, leżało strącone z ołtarza, zdruzgotane, sprofanowane, istna karykatura! Oczy zaszłe pijacką pomroką, gęba jadłem wypchana, z zębami kłapiącemi, z językiem mlaszczącym, oto com jedynie widziała teraz przed sobą.

Pierwsze rozczarowanie, ale jak krwawe, jak bolesne!

I to sprawiła moja bliska krewna, dotąd za siostrę, za moją najlepszą przyjaciółkę uważana. Nie, to mój wróg nieubłagany, szatan złości i niegodziwości wszelakiej! — Raz po raz drzące moje usta powtarzały.

Tak się dla mnie zakończył ów dzień rozkoszny, z takim niepokojem oczekiwany i tak radośnie rozpoczęty. Mój Boże! — pomyślałam z ciężkiem westchnieniem. — Czemże jest to życie, czem jego nadzieje, jego sny zwodnicze? Bańką mydlaną, rozpryskującą się za najlżejszym wiatru podmuchem.

Po tej uwadze filozoficznej, usnęłam wreszcie zmęczona łzami i bolem złamana.

Bodajto młodość! Sen i apetyt nad wszelką boleść u niej silniejsze.

Obudziłam się nazajutrz z ciężką głową, a próżnym sercem. Płomienie zagasły, popiół jeno zimny po sobie zostawiając. Główka atoli siedemnastoletnia, pracować nad czemś koniecznie musi. Skoro więc w swej mądrości uradziła, iż pan Zdzisław Kwiatkowski, niegodnym się stał jej zapałów, zaczęła obmyślać różne piękne i wzniośle brzmiące frazesa, któremi miała umotywować kosz solenny, jaki mu w myśli przygotowywała, gdy ośmieli się wuja o jej rękę poprosić.

Z tem niezłomnem postanowieniem zeszłam do ogrodu. Za chwilę wpadła tam Basia zadyszana, mnie szukając.

— Idź prędko do mego ojca — zawołała. — Czeka tam na ciebie tylko. Ja rozumie się dałam najchętniej moje wotum zaufania.

— Sławna! — pomyślałam. — Ona raczyła dać swoje przyzwolenie! A w czemże to się jej tyczy? Wszak tu jedynie ja roztrzygać mogę. Ta Basia, tylko po to jest na świecie, by mnię drażnić na każdym kroku.

Niemiłem było dla mnie, w obec wszystkich dawać odkosza panu Kwiatkowskiemu, tem bardziej, iż mojem wczorajszem milczeniem, upoważniłam go niejako, by mówił z wujem. Ha! niema rady, trzeba zgryść orzech, i powiedzieć, że go nie chcę więcej. Weszłam do sali jadalnej.

Ku memu największemu zgorszeniu, zastałam wuja i jego gościa, znowu zajadających z najlepszym apetytem. Jeść, gdy się oczekuje odpowiedzi stanowczej od wybranej sercem; gdy waży się szala niepewna doli lub niedoli naszej, to tylko taki gbur jak Kwiatkowski potrafi! — mówiłam sobie w duchu, a jeżeli tliła jeszcze jaka słaba iskierka sympatji dla niego, w mojem sercu, tak niedawno miłością pałającem... zagasła w tej chwili z kretesem.

Nawet się ubrać nie umiał stosownie do chwili tak uroczystej! Oświadczać się o rękę panienki w czarnym krawacie, w krótkiej marynarce i butach ze sztylpami! (pan Kwiatkowski konno tym razem przyjechał.) Czyż to nie jest najwyższem lekceważeniem, podeptaniem wszelkich względów towarzyskich?

Gdy mnię ujrzał wchodzącą, zerwał się od stołu, próbował połknąć naraz ogromny kawał pasztetu, policzki wydymającego, przyczem o mało się nie udławił i cały poczerwieniał, wreszcie otarł usta, swoim zwykłym, dobrodusznym uśmiechem mnię witając.

Z miną nader niełaskawą, zaledwie końce palców mu podałam, sztywnie głową skinęłam, dumnie się prostując w całej nie wielkiej co prawda wysokości.

Jakoś nikt na moje dąsy nie uważał.

— Pójdź no Róziu do wujenki, poproś ją tutaj, i przynieś przytem wina reńskiego dwie flaszki, tego z zieloną pieczątką. Musimy wypić na pomyślne ukończenie sprawy, z którą pan Kwiatkowski przyjechał. — Tu wuj mrugnął znacząco, a pan Kwiatkowski zatarł ręce z zadowoleniem.

— Nieznośny fadowicz! — mruczałam pod nosem, idąc szukać wujenki. — Czy on doprawdy myśli, że już mnie ma w kieszeni, dla tego, iż wczoraj znękana i odurzona, nie protestowałam, gdy pytał, czy może z wujem pomówić. A wuj także sobie dobry, który mnię się wcale nie spytawszy, już gotów pić nasze zdrowie jako narzeczonych. U tych panów, wstrętnych materjalistów! — wstrzęsłam się cała z oburzenia — wszystko na jedzeniu i piciu się kończy. Ale i ja wetknę moje słówko. Jeszcze żyję i nie pozwolę, by mną jak towarem rozporządzano. Kosz cię nie minie, moja ty maszyno jedząca, pijąca, i na raczych nogach się poruszająca.

(C. d. n.)

Wydawca odpowiedzialny: W. Maniecki.